

# "SARMATA"

PISMO LITERACKO-SPOŁECZNE

MŁODZIEŻY SARMACKIEJ

W

KURZYBIE.



1 9 3 1.

**BIBLIOTECA**  
da **Sociedade de Cristo**  
Curitiba PR

---

ROK - I.

MARZEC, KWIECIEŃ, MAJ.

Nr. 3.

W C Z O R A J...

D Z I Ś...

J U T R O...

Dnia 25 stycznia b.r., ukazał się nie -  
spodzianie i zadziwił wszystkich swym entuzjaz-  
mem i optymizmem - 1-szy numer " Sarmaty ".

Zamazanymi literami wydrukowane, ale  
wołające ochoczymi głosami, przesuwały się krót-  
kie artykuły i z istotnie studenckim zapałem, na-  
woływały młodzież do interesowania się tutejszemi  
sprawami i zapisywania swych wrażeń na łamach  
" Sarmaty ".

Zapał był ogólny. Ten i ów rwał się  
do pióra i próbował swych sił literackich, dość  
że drugi numer, wydany 8 marca, był już bogatszy  
w treść, miał lepszy dobry artykułów i technicz-  
nie lepiej był wykonany.

Pisano w nim o wszystkim. Były entuzja-  
styczne nawoływania, urywki literackie, poważniej-  
sze artykuły i lekkie opowiadania.

Dla większego zaś zainteresowania naszej  
młodzieży, myślącej o sprawach intelektualnych,  
redakcja ogłosiła konkurs literacki i nazaczyła  
odpowiednie nagrody.

Plany na przyszłość były wielkie. Myśla-  
no o druku i innych ulepszeniach technicznych.

Rozprzedaż numerów pokrywała koszty, -  
więc wszystko w porządku ! - myślano...

Było to wczoraj...

Dzisiaj zaś wychodzi mozolnie wypracowany 3-ci numer "Sarmaty" z opóźnieniem... przeszło dwumiesięcznym.

Niema w nim entuzjastycznych nawoływań do pracy literackiej i nie przelewa się optymizm - ale mozolnie przez 2 dwa miesiące nabierany materiał i sucha rozważa bez bujania nad obłokami.

Już nie pisemnie, ale w cztery oczy, pobudzało się kolegów do pisania, lecz, -jak przekonąć się można z treści niniejszego numeru, prawie że nic nie pomogły nalegania i prośby.

Wymawiano się brakiem czasu, mnogością tematów i innymi mało przekonującymi argumentami. Więc nic dziwnego, że oprócz kilku opowiadań i obowiązkowych redaktorskich artykułów, są tylko anonimowe wiersze, nie wyszłe z pod piór otaczających nas koleżanek i kolegów, - ale doręczone nam z zamiłowaniem do literatury, przez osoby nie biorące czynnego udziału w naszym życiu studenckim, lecz tylko przyglądające się naszym poczynaniom i wysiłkom.

Drukujemy w dzisiejszym numerze wszystkie nadesłane prace, z wyjątkiem nienadających się do druku, i z lekkim sercem, a lżejszą jeszcze tęczką czwartego numeru, czekamy na przyszły materiał.

Oby było go dużo !

- A jutro ? ...

- Jakie są plany na przyszłość ? ...

- Czy "Sarmata" ukaże się w czerwcu ? - niewątpliwie zapytacie.

Na takie i podobne pytania możemy tylko odpowiedzieć, że z naszej strony t.j. redakcji-koleżanki i koledzy mogą być tego pewni - dołożymy wszelkich wysiłków, aby "Sarmata" - ta myśl i

czyn Stowarzyszenia Studentów "Sarmacja", -nie zmieszał się z głuchą nicością, lecz trzymał wysoko nad czołem płonąca pochodnię polskości.

"SARMATA" nie będzie już tym opóźniającym się miesięcznikiem, ale - niezależnie od żadnego okresu czasu, będzie - w miarę możliwości - ukazywał się, streszczając w sobie wszystkie dążenia intelektualne, rozwijające się na terenie Sarmacji; wszystkie poważniejsze poglądy umysłowe, zajmujące jej członków, i będzie tą wskazówką, za pomocą której, otaczające nas społeczeństwo stwierdzi stan rozwoju umysłowego, -oglądanego przez pryzmat polskości, - czynnych członków Stowarzyszenia Studentów "S a r m a c j a"

Tyle tylko możemy powiedzieć o zwodniczym jutrze...

R e d a k c j a .

### CZY UPRAWIAMY PLAGJAT.

Oto pytanie, które, jak drącząca zmo-  
ra nawiedza nas od czasu do czasu i ostrzem po-  
dejrzenia rani nasze młode niedoświadczone pióra.

Rani nas - sączy się zniechęcenie, mo-  
ralny ból odczuwamy; - ale wiara we własne siły  
szybko przewyższa niemormalne dolegliwości, a  
my, z podniesioną przyłbicą, bo zbrojni w szla-  
chetność, donośnym głosem wołamy:

- W " Sarmacie " drukowaliśmy i zawsze  
będziemy drukować tylko nasze, osobistą pracą i  
wysiłkiem opracowane artykuły. Z pod naszych  
piór wyszły, naszymi są i nasze pozostaną na za-  
wsze. Są nieudolne - wiemy o tym, - ale tembar-  
dziej je cenimy i kochamy, a wstydzić się ich  
nigdy nie będziemy !

Artykuły drukowane w przyszłych nume-  
rach " Sarmaty ", - muszą być także nasze !

Muszą - jak powiedział nasz młody re-  
daktor - przenikać tutejszością, mieć własną ce-  
chę, być tak polsko-brazylijskie, żeby aż biło  
z nich nasze życie połączone z tym krajem, gdzie  
żyjemy i tworzyć coś chcemy.

Czyż brak nam tematów ?

Nie. Spojrzeć tylko trzeba badawczym  
wzrokiem na nasze społeczeństwo, pracę naszych  
ojców, dążenia naszej młodości, na bujność parań-  
skich lasów i stepów, - aby przekonać się, że  
jest to dotąd tylko bogata, wspaniała treść bez  
słów.

Odtwórzmyż ją !!!

Nie trudźmy się o wybitnie parnaską stro-  
nę naszych utworów. Piszmy zrozumiale, a zarazem  
wzniośle.

Bądźmy realistami! Nie silmy się na wy-  
szlifowane metafory, które - gdy źle użyte - ma-  
ją tylko tok myśli.

Nie wysilajmy się nad fantastycznymi te-  
matami, ale malujmy też czerstwymi kolorami dą-  
żenia i radości naszej młodzieży, rozsianych wy-  
spami polskości na morzu brazylijskiem.

Bądźmy sobą ! Myślmy za siebie ! Piszmy  
o sobie ! Realnie otwórzmy otaczającą nas naturę  
i stosunki, - a nikt wtedy, - widząc naszą pracę,  
nie posądzi nas o wstrętny, niezgadzący się  
z naszą naturą - p l a g j a t .

Leszek Roguski.

### WIECZÓR W KURYTYBIE.

Lampiony - kule blade, - zawisły nad miastem  
Srebrząc sine palm liście smukłe i pierzaste.  
Cieni- niczem najdroższe brukselskie koronki  
Pokładły na deptakach storczyki i dzwonki.

W skwerach tłumy ubrane wiosennie i jasno  
W cieniu świecą się, w świetle ciemnieją i gasną.  
Wokół skwerów, jak wielkie i rasowe charty,  
Suna auta okrutnie i cicho - jak czarty.

Mroki gęste i miękkie - niczem zwoje pluszu,  
Za zasięgiem lamp kładą cienie chińskie z tuszu.  
Na Quinze, jak cudowne, zwrotnikowe kwiaty  
Wykwitają reklamy - i gasną, jak światy.

Piękne panie, o oczach błyszczących jak gwiazdy,  
Wprawna ręką prowadzą wykwinne pojazdy.  
Jak serca chore - drgają anonsy cinema  
I szepczą, że nie było Cię tutaj i niema.

### L I Ś C I K.

Chciałem Ci skreślić  
Liścik nieduży  
Na wonnym płatku  
Kremowej róży.  
I wiesz, kochanie,  
Chciałem za gońca  
Użyć promyczek  
Złocisty słońca.

Lecz, ach, nieszczęści  
Płateczki róży,  
Gdzieś poginęły  
Po nocnej burzy,  
A zaś promyczek  
Wyobraź sobie,  
Nie chciałem przesyłki  
Doręczyć Tobie.

Więc, cóż? - musiałem  
Do mej dziewczynki  
Liścik, jak zwykle  
Wrzucić do skrzynki.

### W L E S I E .

Piękny jest las w dzień, gdy jasne  
słońce świeci i leciuchny wietrzyk powiewa,  
piękne w nim życie. Odczuwa się piękność w każ-  
dem poruszeniu gałązki, każdego ptaka śpiewie,  
w szeleście padającego listka, w każdym cieniu  
i promyku słońca, wkradającego się przez wyso-  
kie gałęzie drzew. Piękność tę otacza dziwna za-  
gadka.

W nocy, w ciemnej nocy, gdy brak  
srebrzystego światła księżyca, mrugania gwiazd,  
w głębi daleko od ludzkich chat, gdzie nie sły-  
chać znajomego głosu, nie widać znanej ścieżki,

gy pogrążone we śnieienne życie, - strasz-  
ny jest wtedy las! w ciemności odzywa się ta-  
jemniczym głosem dusza lasu...

Przyjemnie znajdować się w nim jako  
myśliwy, przy towarzyszach, - mieć obóz rozło-  
żony przy ognisku, rozmawiać wesóło bez troski i  
obawy. Lecz być na straży, - sam, - daleko od to-  
warzyszy, gdy każdy hałas może być zdradliwym,  
krok nieuważny zgubą... dziwne opanowuje wtenczas  
uczucie samotności. Wyteżony słuch, oczy wpatrze-  
ne w ciemność... a każdy głos leśny to jakby zbli-  
żający się wróg...

---ooo---

Było to podczas rewolucji. Les wyrwał-  
go od swoich i tu mu kazał przywędrować. Od-  
wiódł go od spokojności codziennego życia i  
rzucił w tę pełną przygód niepewność jutra.

Stał sam w lesie. O kilkanaście kro-  
ków znajdowali się jego towarzysze. Jemu zda-  
wało się jednak, że to bardzo daleko. Stał na  
straży. Był niczem, a jednak czuł się czemś  
wielkim w tej chwili. Od niego mogło zależeć  
szczęście lub nieszczęście setek ludzi... ca-  
łego wojska...

Ciemne jak noc myśli krążyły mu po-  
głowie i jak noc straszne obrazy widział przed  
sobą. Długo już stał, nieruchomy jak pień.  
słuchał i patrzył. Nie słyszał nic, prócz leś-  
nego szelestu; nie widział nic, prócz ciemności,  
a w niej niby widma, postacie grubych drzew i  
cienie rozczapiorzonych gałęzi, niby piękne  
potwory.

Czeka kwadrans... dwa... trzy... A  
dwie jego godziny, jakby się przemieniły w wiecz-  
ność. Czeka...czeka... na co? ... W tem usły-  
szał szelest poruszanych gałęzi. Zaczyna w nim  
mocniej serce bić i oddech staje się szybszy.  
Cały on teraz - to uszy i oczy. Ścieka broń. Na-  
gle zauważył blask bagnetu, pokazującego ostrze  
w dzikim, żądającym krwi uśmiechu. Od stóp do gło-  
wy przebiegł go dreszcz. Za chwilę nietylko szelest  
lecz i głos jakiś usłyszał... Przybrał postawę do

obrony lub napadu. Mijały sekundy, które jemu zdawały się wiekami. Znowu, jakby bliżej, o kilka kroków zaledwie, za murem ciemności tensam głos... Zapomniał, że trzeba zachować się cicho i krzyknął: - stój ! kto jest !

Długo się echem błakał krzyk ten po lesie... Ucichł... i znowu cisza. Czeka... nic... Po chwili nadbiega towarzysz:

- Coś tak zaryczał ?

- Cicho... ktoś tam jest... kryje się ot tam...

- Widziałeś ?

- Słyszałem trzaskanie gałęzi i jakiś krzyk - mówił cicho, urywanymi słowy i patrzył przed siebie jak w piekło. - To musiało być hasło. Musi ich tam być więcej.

- No, nie trzeba było krzyczeć, przeszkąjmy to miejsce. Z pewnością nic nie znajdziemy.

Scisnąwszy karabiny, poomacku obchodzili każde drzewo naokoło, każdą część ziemi badali. Długo szukali, gdy tuż nad ich głowami poruszyły się gałęzie.

- To tam ! Spojrzeli do góry, lecz w ciemności nic nie dojrżeli. Byliby strzelili, gdyby nie odezwał się tensam głos, jakby ludzki. Zdębiał odważny wartownik, a towarzysz wybuchnął:

-Durniu, czyż nie znasz głosu sowy?

- Aa... to sowa ? Ja nie..wie...działem-mówił i trząsł się jak listek. Usłyszeli kroki komendanta, zbliżającego się by zmienić wartę. Towarzysz umilkł, a wartownik skoczył na swoje miejsce.

- I cóż? - zapytał komendant -nic nowego nie spostrzegłeś?

- Ni...c sierżancie. Trząsł się jeszcze.-Dwie godziny stać bez ruchu, to nie zabawka...

- No, oddaj broń i idź spać.

Szedł i błogosławił w duchu towarzysza, który ochronił go od narobienia alarmu w całym wojsku, przez jedną głupią sowę.

Tadeusz Watroba.

## EWOLUCJA FILMU.

Wyszliśmy z kina. Na ulicy, południowy wiatr ogarnął nas swem zimnem, mroźnym tchnieniem.

Przyjaciel mój, człowiek już starszy, dygocząc cały, zapraszył mnie na " chimarrão ". Poszliśmy.

W cukierni, trzymając ciepłymi już dłońmi buchające parą " kuje " i ssąc od czasu do czasu gorzki i wrzący płyn, mówiliśmy o filmach.

- Jak zapatrujesz się na teraźniejsze filmy dźwiękowe? - zapytałem, mając na myśli przed chwilą widziane obrazy.

- Co do obecnie wyświetlanych filmów, przyznać się muszę, że nie wszystkie przypadają mi do gustu. Są bogate - lub olśniewają luksusową dekoracją, fantastycznymi kolorami, biją niepospolitością treści - jeśli takowa kiedy istnieje, - i wrzaskliwością tonów. Lecz nic w nich nie znajdziesz pouczającego, same tam kabaretowe sceny, no i śpiewy. Śpiewa tam wszystko. Bohater filmu wstaje śpiwając, weseli się, smusi, wyznaje swą miłość, zasypia - i wciąż śpiewa. Ale to jeszcze nic. Najbanalniejsze są te, mówiąc po tutejszemu " revistas ". Treści - " nem por um vintem ", ale w zamian masz za miliony przepychu, karkołomnych tańców i rozdzierającej bębenki muzyki. Dawniej, gdy produkcje filmowe dopiero co zaczęły zwyciężać teatr, - inaczej bywało. Najpierw wyświetlano długie, zgrozą przejmujące dramaty. Potem zaczęły się ukazywać filmy komiczno -dramatyczne, w których, obok łzami ciekących życiowych scen, przesuwaly się tryskające humorem obrazki. Ten typ filmów cieszył się powodzeniem aż do momentu zawładnięcia światem przez fiom amerykański, który, dając publiczności sceny najbardziej zbliżone do rzeczywistości, fragmenty historyczne, lekkie dramaty kończące się zawsze bardzo pomyślnie, sensacyjne i przesadzone życie kowbojskie, lub przepełnione dowcipem komedijki, - stał nieodzowną potrzebą przeciętnego obywatela. Ale nie na tem stanęła ewolucja filmu. Ostat-

nie lata - 1929- 1930 , przyniosły nam w dziedzinie filmowej najwspanialszy wynalazek - film dźwiękowy a z nim - cały ten przepych, te dźwięki i sceny coraz to lepsze, które przed chwilą widzieliśmy.

- Na czym wreszcie będzie koniec ?- przerwałem istotnie zaciekawiony.

- Końca nie będzie. Ale film nieda - lekziej przyszłości, przechodząc stopniowo ewolucję i chcąc zadowolić wrażeń pragnącą publiczność , nie będzie już potrzebował tych tak dzieś moralnie krzyczących zastrzeżeń:

" Naukowy ", lub " Tylko dla mężczyzn ".

Ostoja.

N O C.

W otwarte okna noc zagłada,  
Pod oknem pachnie blada róża.  
Z pod palm wachlarza, jak z pod ronda  
Miedziany kiężyc się wynurza.  
Gdzieś, nie wiem gdzie i jakie palce ?  
Po starej błędzą klawiaturze.  
Może to Strauss gra swe walce,  
A może tylko pachną różę?  
Gdzieś, ktoś na ziemię gwiazdy strąca.  
Gdzieś, ktoś swe smutki liczy w ciszy.  
Tam, gdzie nie sięga blask miesiąca,  
Coś się porusza i coś dyszy.

.....  
W otwarte okna noc zagłada,  
Pod oknem pachną blade różę,  
Za psem się wlecze cień wielbłąda ..  
Niebo się błyska jak na burzę.-

m

CIEKAWA PRZYGODA.

Na ostatniej stacji kolei Parana wy-  
siadł młodzieniec średniego wzrostu, z małym ciem-  
nym wąsikiem, nieco podniesionym przy końcach, w  
jasnym ubraniu i kapuluszu również jasnym, z opusz-  
czonym rondem. Elastyczny krok i zgrabne ruchy  
dodawały mu sporo elegancji, chociaż zdradzało ma-  
le zaniedbanie. Wyszedł z peronu na ulicę i podą-  
żył w stronę miasta. Szedł powoli, przyglądając się  
z zaciekawieniem budynkom i przechodniom. Tak  
idąc doszedł do rogu wąskiej ulicy, na której nie  
było żadnych przechodni.

- Dlaczego nie mam robić ruchu na tej  
pustej ulicy - pomyślał sobie, - a zresztą cie-  
kawe są te małe domki, prawie wszystkie w stylu  
kolonialnym.

Szedł wąską uliczką i rozglądał się  
z zaciekawieniem na domki wytyczające ulicę.  
Zdawało mu się , że nikt w nich nie mieszkał,  
bo okna były spuszczone i żadnego głosu z  
wewnątrz nie było słyhać, tylko firanki po-  
zawieszane za szybami zdradzały obecność ludzi.

Nagle zwróciło jego uwagę otwarte okno,  
a w głębi pokoju, dwie panienki o kruczych wło-  
sach, pochylone nad stołem, jakby coś rysowały.  
Odwróciły na chwilę wzrok od stołu i szepnęły coś  
pomiędzy sobą, poczem wyższa uśmiechnęła się  
i złożyła przechodniowi ukłon, pochylając z gra-  
cją czarnowłosą głowę.-

Młodzieniec nieco się zmieształ tem nie-  
oczekiwanem oznakiem grzeczności, opuścił głowę,  
przystanął i zdenerwowanym ruchem uchylił kapelusza.

Panny podeszły do okna i już zupełnie  
serdecznie się śmiały z roztargnienia młodzieńca.  
Ten widząc, że stał się przedmiotem śmiechu,  
puścił się szybkim krokiem, potem zwolnił,  
wreszcie przystanął i zaczął myśleć. Różne myśli

przebiegały mu błyskawicznie muzgownicę.

Panny ciągle jeszcze stały w oknie i śmiały się. Nagle młodzieniec odwrócił się i z uśmiechniętym wyrazem twarzy, przeszedł chodnik, zbliżył się do drzwi, otworzył je, i znalazł się w sali, gdzie były panny.

Wszystko to stało się tak szybko, że panienki nie zorientowały się w sytuacji, wiedziały tylko, że młodzieniec znajdował się już w sali rysunkowej.

Ciągle uśmiechnięty, rzucił kapelusz na najbliższe krzesło i zbliżył się do wyższej panienki, która, z miną przestraszoną i zdziwioną oczekiwała końca tej niespodziewanej wizyty. Objął ją i pocałował.

Po twarzy panienki przebiegł blady uśmiech i rysowało się ogromne przerażenie.

Młodzieniec nie czekając zaproszenia aby usiąść, podciągnął krzesło, zdjął z niego kapelusz, który starannie ulokował na kolanach i mówił:

- Ach! więc to ty Izoldo, moja koleżanko z gimnazjum... poznałaś mnie odrazu, a ja, co miałem się za znakomitego fizjognomistę, nie zdołałem cię poznać... to ciekawe, jak czasy iludzie się zmieniają... nie myślałem nawet o tem, ażeby ciebie tutaj spotkać... wybacz moją bezceremonjalność, ale tak mi jesteś bliską, że uważam za zbyt uczynne wszelkie przestrzeganie róż...

- Ale...

- Bez żadnych ale... chyba, chciałaś coś powiedzieć, w związku z tym całusem przy twej siostrzyczce... możesz być spokojną, widać z jej buzi, że będzie większym od ciebie łobuzem... ..ach! przepraszam, ty wcale nim nie jesteś i dawniej nie miałaś zwyczaju zaczepiać przechodni. Skąd ci to przysz...

- Ja wcale pa...

- Wybacz, że tak nieoczykiwanie wpadłem ci złożyć wizytę, ale dopiero gdy w myśli zacząłem sobie przypominać, przyszło mi do głowy, że się znamy i chciałem ci podziękować, za miłą niespodziankę, jakiej doznałem i o ile pozwolił, to odwiedzę cię wieczorem.

Nie czekając na odpowiedź powstał, ukłonił się głęboko i wyszedł na ulicę, poczem skręcił w stronę miasta.

Po wyjściu młodzieńca, panna długą jeszcze chwilę stała, aż wreszcie ocknęła się z dziwnego wrażenia, które ją opanowało.

Młodsza panienka, która była jej przyjaciółką, znów zaczęła się śmiać i rzekła:

- A więc ty go znasz?

- Nie, nie znam go wcale. Widzisz jakżeś mnie ubrała. Mówiłaś, że to napewno jakiś "Jeca".

- No i nie jest to "jeca" z mi-asta?

- Eh, nie żartuj sobie ze mnie, bo nie mogę jeszcze przyjść do siebie.

- On obiecał odwiedzić nas wieczorem, jak myślisz... przyjdzie?

- Wszystko mi jedno - odrzekła z uśmiechem, wolałabym żeby nie przyszedł... chociaż dobrze byłoby żeby się zjawił, bo dowiedziałabym się co to za numer.

- W każdym razie jest tam niezgorzszy.

Młodzieniec już u niej się nie pokazał. Załatwiwszy swoje interesy, powrócił wieczornym pociągami do domu. Po przyjeździe był u mnie i opowiadał mi swoją przygodę, a ja się nią dzieliłem z czytelnikami "Sarmaty".

Kolega zakończywszy swe opowiadania, dodał zgryźliwym tonem:

- Ta napewno nigdy więcej nie ukłoni się nikomu.

Ozyrys Wielki.



BRASIL - POLONIA .

Dopiero dzisiaj, w ten zimny majowy dzień, niespodziewanie - jak z nieba - wpadł mi w ręce pierwszy numer miesięcznika "Brasil - Polonia".

Pochłaniałem go, zapomniawszy o tym nudnym dzisiejszym dniu, o jesiennych chmurach co wolno czaią się po zamglonym firmamencie, lejąc na ziemię cienkie strugi deszczu i o wietrzne, co z pasją, świszcząc metalicznym głosem, rzuca się w okna...

O wszystkim zapomniałem, - lecz stała przed memi zamglonemi oczyma, hucząca aktywnością życia, i wznosząca się do poziomu innych mocarstw, swym dorobkiem umysłowym i gospodarczym - POLSKA - odzwierciadlona czystym portugalskim językiem, nie tylko przez swoich, ale także przez synów "Ziemi Świętego Krzyża".

Przeczytawszy ten okazowy numer organu Towarzystwa Polono-Brazylijskiego, składający się z 9-ciu literacko opracowanych artykułów, kroniki polsko-brazylijskiej i wzmiance o ostatnich książkach zajmujących się Polską, lub Brazylią, - miałem ochotę rozrzucić po całej ziemi brazylijskiej z miliony takich numerów, aby te, dotarłszy do każdej rodziny brazylijskiej, zapoznały ją z prawdziwym obliczem Polski.

Chciałem też dołożyć wszelkich sił, żeby nie tylko brazylijanie, ale i polacy rozsiani od Amazonas do Chuy, czytawali to pożyteczne pismo, dokładając w ten sposób swe cegiełki, mające wznosić czyste, kryształowe imię Polski - wyżej, ... coraz wyżej!

Chciałby...

Ostoja.

Pannie W. w dowód głębokiej sympatji.

Wicz.

KSIĘGA POCAŁUNKÓW.

I.

Gdyby tak wydać księgę pocałunków,  
Toby zajęła spory tom in quarto,  
Tyle jest bowiem odmian i gatunków,  
Że chociaż kartę przewracam za kartą,  
Choć wyczerpałem ich treść i element,  
Jeszczebym dodał do księgi suplement.

II.

Są pocałunki suche jak Sahara  
I tak gorące, jak powiew tajfunu,  
Są tak upojne, jak szampana czara  
I takie gorzkie, jak zielsko piołunu.  
Są takie wonne, niby gaj mańdaryn  
I takie zwiędłe, jak stary rozmaryn.

III.

Są pocałunki silne, jak amoniak  
I takie blade, jakby trupie lica,  
Są takie słodkie, jak w cukierku koniak  
I tak niewinne, jak synogarlica.  
Są takie głośne, jak dzonienie dzwonnicy  
I takie ciche, jak oczy zakonnicy.

IV.

Są pocałunki zimne jak lodowiec  
I tak bezmierne, jako oceany,  
Są takie zmięte, jak stary pokrowiec  
I takie smutne, jak mogiła kurhany,  
Są takie bujne, jak stepowa trawa  
I takie głupie - jak dzieci zabawa.

V.

Lecz najpiękniejsze dla mnie całowanie,  
Które się ustom przez oczy przesyła.  
Bo są niewinne jako winobranie -  
Jak płatek kwiatu, który strumyk zmywa,  
Lub ten co wisi ponad głębi tonią  
I prosi cicho, " Najdroższa " bądź moją!

## PIERWSZY DZIEŃ LEKCJI.

Gimnazjum trzęsie się w posadach od wrzasku i wesołości.

Nic dziwnego. Przecież to dziś pierwszy dzień lekcji po czteromiesięcznych, rozkosznych wakacjach, - więc krzyku musi być jaknajwięcej!

"Bicharada" tłoczy się przelekła po korytarzach i schodach. Pełno ich wszędzie - a przeważnie same dzieciuchy... Ledwo że to wygramoliło się z pieluch - a już go pchają do gimnazjum.

Rozpacz może ogarnąć porządnego "weterana", gdy widzi jak to profanują ten przybytek mądrości i doskonałości.

Lecz cóż zrobić! Trzeba ich chociaż trochę pomusztrować.

Szykujemy więc ogromne szpilki lub kolce od kaktusów i - jako przystało dościwczonym "weteranom" - krążymy najpierw koło nich z groźnemi a zarazem majestatycznymi minami, a dopiero potem, walecznie klując - zastrzykujemy im odwagę i mądrość, konieczne bezwarunkowo do przebrnięcia przez 5 lat "kolatin" i różnych uczniowskich wybryków...

Ach jak klujemy!!! Przecież - na Herkulesa! - cóż mamy robić? Jeśli się którego "biszka" nie ukłuje w okolicę fraka - ten nie jest ochszczony, a zatem zastawwszy wszystkie "pudreki" reguły logiki - pozostaje pogrążon w ciemnościach pogańskich...

Na piętę Achillesa! - tylko klucz nam pozostaje.

Zresztą, niech taki taki "biszek" porządnie sobie zapamięta, że dziś pierwszy dzień lekcji, że 5-go kwietnia, i że od dziś wchodzi w poczet gimnazystów, a być gimnazystą - to niebyleco!

Niech o tem pamięta!

Do przyjemności, chociaż nie przez wszystkich zażywanej, należy też witanie się z profesorami.

Kochani profesorowie!

Pierwszy kroczy "Garnizé" - maleńkiego wzrostu, w sztywnym fraku i laską w ręku. Wygląda jak najczystszej krwi ogromny chrabąszcz. Klepiemy go poufale po plecach - a "biszki" aż oczy wytrzeszczają z podziwu.

Idzie za nim uśmiechnięty i gadulski profesor rysunków. Elegancko wystrojony - sympatja koleżanek...

Defilują potem - stary i zawsze kochany profesor historii; wysoki i groźny "magister" łaciny; w tużurku i teką pod pachą - profesor portugalskiego; młody, cacany, wystrojony dyrektor - pierwsza miłość każdej gimnazystki itd. itd.

Witamy ich, klepiemy to mocniej to słabiej - zależy od gustu. Płatamy ztyłu figle... gdy wtem - zjawia się zapędzony Porthos.

-Porthos przyjechał! - rozlegają się zewsząd wesołe głosy.

Pędzimy do niego. Rozbijamy wszystkich po drodze. Chcemy jaknajprędzej uściskać zapracowaną dłoń tego profesora "kamaradę".

On śmiejesię, dowcipkuje, klepie nas jakby swych kolegów...

Tak!

Rozkoszny jest naprawdę pierwszy dzień lekcji.

Nabawi się człowiek, naśmieję, naprzwraca "naturalnie niechcący" oszołomionych "biszków", otrzepie kurz z przemądrych bark profesorów i może przytem spłatać porządnego figla nienawidzone mu ogólnie profesorowi angielskiego.

Najprzyjemniejsza jest jednak chwila uroczystego pochodu " biszków " naokoło gimnazjum.

Zdejmuje się wtedy marynarki ze specjalnie na ten cel wybranych drabów, przewraca się je na lewą stronę i - " vamo mais " - każe się im w tym cudnym stroju maszerować dwójkami.

Niektórzy stawiają się, protestują, płaczą, ale nic z tego, - wybrany "biszek" maszerować musi!

Zadolenie "weteranów" jest ogromne.

Po tyłu hecach i awanturach, wraca człowiek ziajany do domu. Półka obiad, i już go niema. - pędzi na " meeting " lub jakąś inną " farę ", specjalnie zorganizowaną, aby zacząć wesoło i beztrąsko siedmiomiesięczny rok szkolny.

O " kolach " jeszcze się wcale nie myśli.

Bo i pocóż? Przecież na " sabbatinach " " koluje " się z książek, - a egzaminy jeszcze tak daleko...

Pożądny "weteran" robi " kole " dopiero 15 dni przed egzaminem.

Poco się wcześniej trudzić!...

O spacerach pod Szkołą Normalną też się nie pamięta w pierwszy dzień lekcji...

Normalistki przecież nie " sarokury " - nie uciekną, a okazja splatania figla " anglikowi, leb ochszezeni a " biszka " nie znajdzie się tak prędko.

Zresztą - na namory jeszcze czas!!!

Tak było za moich czasów...

Leszek.

## CHWILE WYTCINIEN.

Sporo czasu upłynęło od chwili, kiedy pierwszy raz mówiono o wycieczce młodzieży kurytybskiej. Tak już dawno, że niektórzy nawet o niej zapomnieli,

Z inicjatywy Wydziału Młodzieży przy C.Z.P. wcześniej szerzono propagandę w celu uzyskania przyrzeczeń i dania czasu na wyplakanie pozwolenia tatusiów. Nie wszyscy bowiem może i słusznie, zapatrują się przychylnie na podobne wybryki.

Skoro poruszono pierwsze koła reklamy, wyłoniło się pytanie: - kto się podejmie przygotowaniem wycieczki i kto użyczy nóg i czasu na wybadanie podkurytybskich " rajów ". Zasalutował po to z sympatji stary nasz kolega i entuzjasta podobnych imprez. Dopomógł mu w tej misji jeden z kolegów i bez namysłu, perwego popołudnia zmierzyl drogę z Kurytyby do Cascatinha.

Tu, po niedługim waleśaniu się, bo faktycznie niewiele było do wyboru, zgodzili się na tradycyjne miejsce wycieczkowe i wypoczęli tam, gawędząc o marności tego świata, ponieważ chcieliby wszystkich do rajy zaprowadzić.

Dnia 15 marca, o godz. 6 i pół przed Związkiem Polskim, zeszła się większa część miłych koleżanek i kolegów. Stąd, po długim wyczekiwaniu, ruszono - jak na młodych przy - stoi - do już wspomnianej Cascatinha.

W drodze wszystkie buzie i oczęta się ożywiły i szczerzy uśmiech - o który dziś tak trudno - wśród lasów i winnic, lub miłych domów przydrożnych, świadczył o zadowoleniu i radości młodych uczestników. W takim nastroju wesoła gromada dotarła do mety.

Na miejscu można było usłyszeć tysiące zdań o obiecany raj. Bo cóż brakowało? I woda i chłód, wygodne miejsce do huśtawki, siatkówki, strzelnicy, pływania; nawet gdyby nie post - na obertasa miejscaby starczyło. Victrola - sympatja wycieczkowiczów, też się znalazła.

Dzięki nawoływaniom uczestniczek, zabrano się do przygotowania siatkówki, i nie wiadomo na czyj rozkaz - kucharz zawiązał rękawy i dalejże gotować kawę.

Pocziwy kucharz, - on najwięcej pracuje - pochwaliła go jedna z rozumniejszych. Biedak latał jak motyl, by koleżanki nie skrytykowały jego firmy w przyrządzaniu czarnego napoju. Twierdził i dowodził o zdobyciu nagrody za tą pracę gdzieś tam pod angielskim czy polskim niebem. Nie tracił czasu. Sympatyczne panienki nie tylko nie zganiły, ale zdaje się że nawet mają mu kupić na imieniny - fartuszek. Przyda się. Ostatecznie komuż może być źle w tak miłym towarzystwie.

Ale nie traćmy czasu, bo do wieczora daleko, a "Sarmata", to nie "Estado de São Paulo". Zresztą pan redaktor kazał się skrać, chociaż na wycieczce się nie skracał, mimo, że sam jest króciutki.

Przy urządzeniu zabaw spędziliśmy sporo czasu, a potem niektórzy poszli zaglądać do garnka. Szkoda że kucharz nie oblał ich wodą, ale nie mogli tego uczynić, ponieważ studnia była daleko. Mimo wszystko zaczęto "wcinać" co kto miał, by posiliwszy się, użyć ruchu w grze.

Odlam "śmietanki" poszedł z siatkówką nieco powyżej, a reszta pozostała na niżej położonej równinie i tu korzystała z czasu.

Ażeby oddać te szczere uśmiechy, te okrzyki przerażenia, gdy jeden skap ał się do pasa w wodzie, - to trzeba by pewnie wdrapać się na wysokie drzewo i stamtąd obserwując, robić notatki.

Siatkówki i huśtawki były tak dobrze urządzone, że z braku słów, można było usłyszeć nawet przytakujące - "ehe". Tak się raczyli.

Zejdźmy niżej do strzelców. Z instruktorem na czele, można było śmiało wysadzić trzy kulki za 500 rejsów. Nie chodzi tu o wydatki, tylko o sport, - bo tamte zliczy się tak, że nawet tatuś się nie pólapie, na jakie "balas" wydał synek pieniądze.

Ze względu na pana redaktora muszę się ograniczyć i wspomnę tylko jeszcze o zapasach siatkówki. Tu nasuwa się powiedzenie, może nawet jeszcze za Abrahama używane: "cicha woda brzegi rwie". "Bursa" ze stopiętnastego rejsu, zaspokoila Sarmatów i Junaka przekąską wcale znienacka. Cześć im za to. Cześć i tym co przegrali, bo bez nich - "zdechł pies". Przypuszczam, że to będzie powód do częstszych wzajemnych odwiedzin, byle zgodzie i ponad urazy prywatne.

Dawno już słońce skryło się za pinjory, gdy nasza wesoła gromada, składająca się z około 60 wesołej młodzieży - szła przez pagórki i doliny, do domu na wieczerzę.

Piotr Flenik.

## REFLEKSJE NAD NIEBĄLEKĄ PRZYSZŁOŚCIĄ.

Jak widzimy z wyników przy wyborze nowego zarządu, losy "Sarmacji" spoczywają w rękach nowych studentów, pełnych optymistycznych myśli i dobrej woli - czynniki niezbędne do postawienia Stowarzyszenia na właściwym szczeblu społecznej doskonałości.

Zarząd 1931/23 r., zastał w Stowarzyszeniu pewne przebudzenie życia organizacyjnego, - lecz żadnego planu na przyszłość. ( Nie mówię tutaj o Komisji Budowy Domu ) i żadnej pracy do wykonania.

Ustępujący zarząd - czy to przez małe zainteresowanie, czy też z braku możliwości, - nie wskazał nowym zastępcom nawet wąskiej ścieżki, któraby poprowadziła ich i dała im odpowiedni kierunek w przyszłych pracach.

Nie można też od niego wymagać tych ważnych wskazówek, ponieważ sam, nie mogąc zrealizować - urządził miesięczne zebrania, wycieczki i spacerki rozrywkowe, - co przecież nie jest tylko pracą Stowarzyszenia, mającego takie cele jakie ma "Sarmacja".

Do dodatnich stron działalności byłego zarządu, zaliczyć trzeba "Sarmatę", kursy literatury, prowadzone przez p. prof. Seweryna Maciszewskiego, urządzenie odczytów p. prof. Dra Załęckiego, Dra. Stołyhwy, - no i czynny udział brany w obchodach narodowych, oraz zorganizowaniu Wydziału Młodzieży.

Lecz wróćmy do położenia nowego zarządu.

Stoi on na równinie żyznej i gośdziejnej, - nie mającej jednak racjonalnej gospodarki.

Jest silny, ufny w siebie, - ale dotąd bez planów przyszłej działalności.

Pracujcie ! Wysilcie wszystkie swe zdolności społeczne i wybudujcie dla " Sarmacji " nie wąską ścieżkę, ale szeroką asfaltowaną szosę, po której moglibyśmy szybko zejść do celu, oparowanego przez założycieli Stowarzyszenia !

Twórcy ! Skonkretyzujcie się na faktach ! Nie wznosźcie na swej drodze niebotycznych przeszkód !

Nie patrzcie na ludzi, ale ponad ludzi, - na ich pracę i działania !

Nie bądźcie drobiazgowymi - ale realnie i trzeźwo rozpatrujcie wasze plany !

Sądźcie według prawa i waszego sumienia - a nie miniecie się z waszym celem i zbudujecie na granitowych fundamentach dwóch pierwszych zarządów "Sarmacji" - wiekotrwale pierwsze piętro.

Leszek Ostoja Roguski.

## B A L .

Doroczny Bal Reprezentacyjny Stowarzyszenia Studentów " Sarmacja ", który zwykle odbywa się w rocznicę założenia Stowarzyszenia, w tym roku został przesunięty na dzień 6 czerwca, dla uczczenia Pana Posła R.P. Dra Tadeusza Grabowskiego, który w towarzystwie Pana Dra Juljusza Szymańskiego przybywa do Kurytyby.

Koleżaki i Koledzy, postarajcie się, aby Bal był wspaniały, huczny i wesoły !-

Redakcja "Sarmaty" otrzymała z Porto Alegre bardzo miły list, którego treść

" Do  
"Sarmaty" miesięcznika Stowarzyszenia Studentów "Sarmacją" w Kurytybie.

M Ł O D Z I E Ż Y !

Wielu z Was znałem we wczesnym dzieciństwie. Ongiś patrząc na Wasze drobne postacie, z myślą pełną troski zadawałem sobie męczące pytanie:

Co z Was będzie !...  
Nawóz pod obcość, czy nowa odrośl polska ?...

Pojawienie się "Sarmaty" zapowiada to drugie.

Cześć Ci Młodziu !  
Skupiaj w sobie całą przeszłość  
Twych Ojców, kuj swoistość, twórz na jej fundamencie, wzbogacaj Naród, - Ludzkość !

Pozwólcie młodzi Druhowie, że obok życzeń i radę Wam złożę:  
Weźcie sobie za wzór prawdy zawarte w "Odzie do Młodości";

Bądźcie zawsze młodzi i duchem;  
Niech nigdy samochwalstwo, pochlebstwo, nie zagości wśród Was;

Życiem całym, a nie tylko pojedynczymi czynami odważni bądźcie;  
Miejcie charakter.

Wasz druh

J. A n u s z.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Tow. Junak.

Za życzenia serdecznie dziękujemy i pragniemy z całego serca szybkiego rozwoju Towarzystwa.

"Ozyrys Wielki".

"Ciekawą przygodę" drukujemy. Wiersz p.t. "Futuryzm" - według naszej skromnej opinii - za słabo opracowany. W takim stanie do druku się nie nadaje. Nie drukujemy, gdyż jesteśmy przekonani, że stać kolegę na lepszemu. W nadesłanym widać bardzo niezręczne rymy, jak np.:

" Zbliża - artysta "

Albo: " Żwawo maluje  
I z boku się na nie przypatruje  
Jeszcze 10 szczegółów maluje! "

Albo to:

" Na widok jego  
I tego wszystkiego,  
Sąsiedzi się zbigli  
Do obrazu tego "

Czy i te rymy też są futurystyczne? Dziś tak banalnie się nie rymuje.

Radzimy trochę popracować nad formą, gdyż za taką niedbałą, Muzyka na śmierć się na takiego poetę pogiewają i Kurytybę na zawsze mogą opuścić. A byłaby wielka szkoda...

Redaktorowi "Nocy" koledze M. Barańskiemu, najmłodszemu z redaktorów w Kurytybie dziękujemy za wzmiankę o nas w swym piśmie i życzymy z całego serca powodzenia na niewdzięcznej niwie dziennikarskiej.

" m ".  
Za wierszyk dziękujemy. Drukujemy go, chociaż zasadniczo anonimowych utworów przyjmować nie powinniśmy. Umieszczamy tylko wyjątkowo udane. Szkoda, że nawet redaktor nie może się domyślić nazwiska poety kryjącego się pod skromną literką " m ".

J.C.

Utworu p.t. " Kąpiel " nie możemy wydrukować, ze względu na jego rozległość. Zająłby on nam całe skromne pismo, i dla innych krótszych artykułów nie zostawiłby miejsca. Piszcie coś krótszego z życia kolonji. Piszcie bardziej realnie, nieopisujcie niesamowitych przygód, których nawet w przybliżeniu nie można do tutejszego życia porównać.

Nigdy nie przestaniemy powtarzać:  
- prostoty, prostoty i jeszcze raz prostoty !-

"Wicz "

Księgę p. ocałunków drukujemy. Bardzo dziękujemy nieznanemu autorowi i prosimy o nas niezapominać

"Waro "

Najmocniej p. przepraszamy, że dalszej części noweli p.t. " I TO U NAS " drukować nie możemy. Utwór okazał się za długi, ponieważ podzielony na części, zająłby ponad 6 numerów "Sarmaty ". Prosimy o krótsze prace.

#### KONKURS LITERACKI.

Ogłoszony swego czasu konkurs literacki - zamykamy. Termin rostrzygnięcia konkursu już dawno upłynął a żaden utwór nie przekroczył progu redakcji.

Wydawnictwo Stowarzyszenia Studentów

" SARMACJA ".

Redaktor główny - Antoni Śliwiński.  
Administrator - Leszek Roguski.

Adres:

" S A R M A T A "  
Rua Dezenbargador Motta - 81.

Numer pojedynczy..... 1φ500.

